

W Y D A N I E   S P E C J A L N E

MAGAZYN OPINII

# Pismo.

WYDANIE SPECJALNE NR 1/26 | LATO 2026

WOKÓŁ  
MIŁOŚCI

Dlaczego  
oglądamy  
*Love is Blind*

Esther Perel,  
pani od zdrady

Joanna Gutral:  
za dużo *self-care*

Chętni na romans  
z czatbotem?

Katarzyna Miller  
i dorosłe dzieci  
starzejących się  
rodziców



CENA: 24,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 434035



9 772544 502616

W Y D A N I E   S P E C J A L N E

MAGAZYN OPINII

# Pismo.

WOKÓŁ  
MIŁOŚCI

WYDANIE SPECJALNE NR 1/26 | LATO 2026



# Nie mylić z miłością



**KATARZYNA KAZIMIEROWSKA**, dziennikarka i redaktorka. Zastępczyni redaktorki naczelnej i sekretarzynie redakcji „Pisma”. Autorka cyklu *Strategie przetrwania*, a także książek: *Życie. Strategie przetrwania* i *Wielkie zmęczenie. Osobista historia cukrzycy typu 1*.

W swojej książce *Wszystko o miłości. Nowe wizje* amerykańska feministka i eseistka bell hooks pisze, że wszyscy chcemy lepiej poznać miłość. „Chcemy wiedzieć, co to znaczy kochać i co możemy zrobić, by kochać i być kochanymi” (przeł. Karolina Iwaszkiewicz). Chcemy wierzyć, że miłość uleczy każdą ranę, a także chcemy ją dawać, wręcz rozdawać na lewo i prawo. Czy mądrze i zawsze zasadnie? To inna kwestia. Bo czy można pokochać bezwarunkowo kogoś, kogo właśnie poznaliśmy? Albo czy można wybaczyć absolutnie wszystko w imię miłości? Dać drugą szansę? Czy miłość do przyjaciela może równać się tej romantycznej? I kiedy postawić miłość do siebie na pierwszym miejscu? Na te i wiele innych pytań spróbaliśmy odpowiedzieć w Wydaniu Specjalnym „Pisma”, które trzymacie w rękach.

Podążamy w nim przetartymi ścieżkami, przyglądając się im na nowo, z dystansu i z refleksją. Dlatego, gdy Patrycja Pustkowiak, a raczej jej literacka bohaterka, idzie na randkę z Tindera, która wygląda jak w krzywym zwierciadle, uśmiechamy się, bo znamy wiele takich historii. Robi nam się jednak mniej do śmiechu, gdy Jakub Wątor, dziennikarz zajmujący się między innymi nowymi technologiami, podsumowuje 15 lat istnienia na rynku Tindera i innych aplikacji randkowych, i pyta, dlaczego wciąż z nich korzystamy, skoro ich skuteczność łączenia ludzi w pary jest znikoma, a w większości rodzą frustracje, kompulsje oraz lęki, dając w zamian złudzenie przeżycia miłości? Dziś często po rozstaniu młode kobiety i mężczyźni nie idą do baru czy pubu w gronie przyjaciół, tylko ściągają aplikację randkową na telefon.

Wspomniane grono przyjaciół także zdaje się zmieniać, w coraz mniejszym stopniu zaznaczając swoją obecność w naszym życiu. Jak pisze Marisa G. Franco, autorka książki *Przyjaźń w czasach samotności. O znaczeniu i budowaniu więzi w dorosłym życiu*, nie wystarczy przyłączyć się do jakiejś grupy czy poszukać hobby. „Aby zdobyć przyjaciół, musimy wykonać głębszą pracę – zaakceptować to, jacy jesteśmy, i jak kochamy” (przeł. Ewa Ratajczyk). Od tego zależy, jakie więzi zawieramy, i jakie osoby przyciągniemy. O tym, jak to wygląda w praktyce, gdy jest się mężczyzną, któremu brak męskich przyjaźni, pisze Marek Szymaniak. Wiemy już, także z tekstu w „Piśmie”, że mężczyźni częściej odczuwają samotność niż kobiety i mają większą trudność w nawiązywaniu relacji – tym razem przyglądamy się jednak temu, jak to wygląda z perspektywy mężczyzny, któremu na przyjaźni zależy. Zwłaszcza gdy słyszy, że z wiekiem coraz trudniej o nowe więzi.

W wieku średnim zaczynamy inaczej patrzeć na różne relacje, także na tę najdłuższą w naszym życiu: ze starzejącymi się – jeśli ich mamy – rodzicami. Jak być obecnym w życiu rodzica mimo jego wad, mimo urazy, jaką często do niego czujemy? Jak wspierać go w ostatnich latach życia, jak powiedzieć mu, że się go kocha mimo wszystko, ale także jak się na dobre odciąć od relacji, która nas krzywdzi? O tym Marii Hawranek opowiada psychoterapeutka Katarzyna Miller.

Zostawiliśmy też sobie na deser trochę miłości romantycznej. O najnowszym sezonie amerykańskiego reality show *Love Is Blind*, którego pierwsza polska edycja, bardzo emocjonująca, właśnie rozgrzewa media społecznościowe, piszę razem z eseistką Karoliną Lewestam. Ale zamiast tradycyjnego pytania, które pada w programie co chwila – „Czy miłość rzeczywiście jest ślepa?” – zastanawiamy się, czemu tak ślepo gonimy za choćby powiewem romantycznej miłości, i czemu ciągle nam jej nie dość. Wychowani w świecie, w którym miłość wydaje się niemal nową religią, wszyscy pożądamy tylko jednego jej modelu. Nawet, jeśli po drugiej stronie zamiast człowieka mówi do nas chatbot. Czy i jak można się zakochać w AI, sprawdza Małgorzata Żarów, konfrontując się z pytaniem, czy mimo braku fizycznej więzi może to być uczucie spełnione.

Tym z Was, którzy chcą spojrzeć na współczesne związki, proponujemy obejrzeć je z fotela gabinetu terapeutki par, Esther Perel, o której pisze Aga Kozak. A na koniec, żeby zwrócić uwagę na silny trend kultury *wellness* – czyli na światło skierowane na nas – o miłości własnej i przekraczaniu cudzych granic w imię pilnowania własnych, rozmawiam z terapeutką Joanną Gutral. Jak pisze bell hooks, najtrudniej jest widzieć miłość taką, jaka ona jest, i nie mylić jej z troską, przemocą, fałszywym zauroczeniem, przyjaźnią czy fizycznym pragnieniem. Bo wtedy, zamiast szczerze kochać i być kochanym, pozwalamy sobie – zarówno sobie samym, jak i innym – manipulować.

Zamów pakiet trzech wydań specjalnych, idealnych na wakacje: *Wokół podróży*, *Wokół jedzenia* i *Wokół dobrostanu* na [magazynpismo.pl/](http://magazynpismo.pl/) 3-wydania

# MAGAZYN OPINII Pismo.

WYDANIE SPECJALNE I/26

## PROZA

**Palec boży** | 2  
PATRYCJA PUSTKOWIAK

## POEZJA

**Czym jest miłość** | 53  
ANA BLANDIANA

**Na zdarzenie z życia prywatnego** | 69  
ZUZANNA GINCZANKA

## KOMIKS

**Czekam** | 38  
EDYTA KRANC

**SZKIC I ŻARTY RYSUNKOWE**  
ANNA GOSŁAWSKA-LIPIŃSKA (HA-GA)

## GALERIA

**Za miłość!** | 80

## OKŁADKA

**Gadki szmatki o miłości**  
AGATA BURNAT  
fot. DESA UNICUM

## REPORTAŻ

**10 | Miłość, seks i czatboty**  
MAŁGORZATA ŻARÓW zagląda do świata miłosnych relacji między ludźmi a AI

## ROZMOWA

**18 | Mamie przekazuję pozdrowienia**  
MARIA HAWRANEK rozmawia z psychologką KATARZYŃĄ MILLER

## PORTRET

**28 | Esther Perel, pani od zdrady**  
AGA KOZAK pisze o uwielbianej amerykańskiej terapeutce par

## ESEJ IDEE

**44 | Kosmos męskiej przyjaźni**  
MAREK SZYMANIAK tłumaczy, dlaczego tracimy ważne dla nas relacje i jak je odzyskać

## STUDIUM

**54 | Jak nie znaleźć miłości w 11 minut**  
JAKUB WĄTOR bada (też na sobie) fenomen aplikacji randkowych

## STRATEGIE PRZETRWANIA

**62 | Tęcza, brokat, jednorozce. Jak nie kochać siebie (za bardzo)**  
KATARZYNA KAZIMIEROWSKA rozmawia z JOANNĄ GUTRAL

## ESEJ KULTURA

**70 | Ferma miłości**  
KAROLINA LEWESTAM i KATARZYNA KAZIMIEROWSKA o *Love Is Blind*

ILUSTRACJE W TYM NUMERZE: ARTUR BLUSIEWICZ, BARTEK GLAZA,  
BEATA KOTNOWSKA, JADWIGA LEMAŃSKA, ANNA OPARKOWSKA,  
PIOTR PERŁOWSKI, PATRYCJA PODKOŚCIELNY, SYLWIA SZYRSZEŃ,  
DAREK VASINA

MAGAZYN OPINII  
Pismo.

Pismo. Magazyn Opinii  
magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja „Pismo”  
ul. Świeradowska 47,  
02-662 Warszawa  
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezeska zarządu: Urszula Kifer  
Członkini zarządu: Inez Jaworska

Redaktorka naczelna: Urszula Kifer Zastępczyni redaktorki naczelnej: Katarzyna Kazimierowska  
Redaktorzy prowadzący: Magdalena Kicińska, Zuzanna Kowalczyk Redaktor ds. fact-checkingu: Marcin Czajkowski  
Felietony: Magdalena Bigaj, Karolina Lewestam, Agata Romaniuk Redakcja: Joanna Dolecka, Julia Pańków,  
Zofia Sawicka, Ilona Turowska Korekta: Tatjana Krajowska-Kukiel, Dorota Śrutowska  
Dyrekcja artystyczna: Karolina Mazurkiewicz Graficzka: Marta Juchnowicz-Bierbasz  
Wydanie cyfrowe: Ewa Pluta (wydawczyni) Menedżerka pozyskiwania przychodów i marketingu: Inez Jaworska  
Marketing: Anna Galewska Media społecznościowe: Marta Szymczyk Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec,  
Łukasz Tofil Koordynator projektów i współprac: Mateusz Roesler

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.  
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

# Palec boży

tekst PATRYCJA PUSTKOWIAK

Gość, który dał mi superlajka, miał oczy drapieżnika. Okrutne, zimne i jakby już firmowo wpatrzony w ofiarę. Muszę przyznać, że im dłużej przyglądałam się jego zdjęciu, odnotowując swoje rosnące zainteresowanie, tym większej pewności nabywałam, że mój radar na osoby o wątpliwej kondycji zdrowia psychicznego nadal dobrze działa. Jest jednak w ludziach coś, co działa z podobną mocą – to tendencja do samooszukiwania siebie. Wszędzie wypatrywałam znaków, że mój los, unieruchomiony pośrodku czegoś większego, przypominający łabędzia uwięzionego na skutym lodem jeziorze, czeka nagle odmiana. Odwilż, po której będę mogła na nowo rozpostrzeć skrzydła.

Naprawdę jej potrzebowałam. Odkąd siedem lat temu się rozwiodłam, los okrutnie mnie doświadczał i nic nie zapowiadało, że kiedyś nadejdą jakieś tłuste lata. Od upokorzenia związanego ze zdradą i rozstaniem gładko przeszłam do rozmaitych chorób, dolegliwości kobiecych, w wyniku których przeszłam kilka operacji. Po jednej z nich, kiedy wypchali mi czymś pochwę, zrozumiałam, jak muszą się czuć przemytniczki narkotyków. Wreszcie prawie umarłam, przeżywając wstrząs anafilaktyczny.

W moim menu na stałe zagościło panini z mielonymi antydepresantami, a na pocie-

szenie wegańskie lody, które wyglądały jak mrożona uryna. Mimo upływu lat nie udawało mi się wyprowadzić życia na prostą. Każdy kolejny rok pobytu w Warszawie oznaczał szukanie nisko płatnych zleceń na tłumaczenia, a także wynajmowanie co rusz to nowych mieszkań, które łączyło jedno – na wszystkie spadały nieszczęścia mocą przypominające plagi egipskie. A to zalało łazienkę, a to na ścianie wyrósł grzyb wielkości Muru Chińskiego, a to – mogłabym przybić piątkę z bohaterami Dostojewskiego – w łóżku zaległy się pluskwy. Myślałam, że jeszcze chwila, a pójdę do stosownego urzędu i zmienię imię na Hiob.

Zastanawiałam się zatem nad karmicznym wymiarem Tindera. Rozważałam, czy tego superlajka nie można uznać za dobry omen. Oto niebiosa otworzyły się, by zesałać mi piękną i trwałą odmianę losu, a że współcześni bogowie operują innymi niż niegdyś formułami dystrybucji przeznaczenia, użyli do tego apki. Tak, to możliwe, przekonywałam samą siebie, że Fortuna – choć do tej pory była dla mnie okrutna i fundowała mi raczej porażki, sprawiając, że moje życiowe doświadczenia można było porównać do morsowania – tym razem pozwoli mi się wynurzyć z lodowatych odmętów losu i zaczerpnąć świeżego powietrza!

Poza tym zbliżał się koniec roku, niebawem miał się narodzić Bóg, więc i ja na oślepek szukałam w swoim życiu jakiejś metafizyki. Aby ją znaleźć, zrobiłam już dwie rzeczy: wyniosłam na śmietnik ostatni zalegający w moim mieszkaniu relikwiarz przeszłości (łóżko, na którym niegdyś spałam z mężem) i okadziłam mieszkanie szałwią. Potem, by wyzwolić się z wszelkiej negatywności, przez godzinę praktykowałam jogę wraz z medytacją, a następnie, w tym samym celu, przez kilka godzin praktykowałam wino.

W ten właśnie sposób doszłam do spotkania ze swoim osobistym przeznaczeniem, zamkniętym w małej, czerwonej ikonce.

Gość był lekarzem, do tego psychiatrą. Nadal wszystko się zgadzało, bo tak samo jak drugiego człowieka potrzebowałam też psychiatry. Niewiele się zatem wahając, przesunęłam go w prawo.

Pomyślałam, że jeśli nie dogadamy się w dziedzinie uczuć, może w grę mogłaby wejść jakaś współpraca zawodowa, na przykład mogłabym mu pomóc w pisaniu rozpoznań psychiatrycznych. W końcu pod kątem kontaktów z chorą częścią ludzkości biłam wszystkich na głowę. No i w drugą stronę: ktoś, kto wykonuje ten odpowiedzialny zawód, ratuje ludzi w ciężkiej psychicznej chorobie, na pewno uratuje mnie



od siebie samej! A nawet jeśli mu się nie powiedzie, może przepisze mi coś nowego, co już na dobre zamknie mnie w szczelnym skafandrze i pozwoli uniknąć dalszego doświadczenia egzystencjalnego morsowania.

ZRESZTĄ WYDAWAŁO mi się, że wierzyć dziś jeszcze w jakikolwiek sukces osobisty było niezwykle trudno. Odnosiłam wrażenie, że społeczeństwo z roku na rok pograża się w coraz większej psychozie, co zresztą współgra z postępującą psychodeliczną zmianą społeczną. Linki i uczucia wygasały w podobnym tempie, a kolejne osoby znikły z twojego życia tak szybko jak relacje na Instagramie. Dlatego czułam, że związki staną się niebawem czymś zupełnie prawnym, archaicznym, co naturalnym biegiem rzeczy wypadło z obiegu, jak przepierka w rzece albo ręczne ubijanie masła. Będą się nimi trudnić jedynie prawdziwi konesery, znawcy dawnego miłosnego rzemiosła.

Sama nie byłam w tym za dobra. W dziedzinie uczuć czułam się jak niemy, który próbuje śpiewać wymagającą arię operową. Już przed rozwodem nie można było mnie nazwać mistrzynią miłości. Jeśli w ogóle wychylałam się ze swojego kokonu, by nawiązać jakąś relację, zawsze trafiałam na osoby szalone, które przechodziły przez moje życie jak tsunami i zostawiały mnie wyżętą na brzegu.

Niestety podobnym doświadczeniem okazało się małżeństwo.

Kiedy zostałam sama, siłą rzeczy zmuszona do powrotu na rynek matrymonialny, czułam, że muszę brać udział w czymś, co przypomina bieganie po galerii handlowej, której układu nie znam – i to w samej bieliźnie.

O dziwo, po rozwodzie w moim życiu pojawiali się jeszcze trybem naturalnym, a nie technologicznym jacyś mężczyźni, którzy usiłowali nawiązać ze mną znajomość. Trudno mi było jednak odpowiadać na ich próby. Wydawało mi się, że tylko krążą wokół mnie jak członkowie jakiejś tajemniczej ekipy epidemiologicznej, ubrani w jednokolorowe, białe, pozbawione znaków szczególnych skafandry i usiłują wydobyć mnie ze strasznej choroby, na którą zapadłam.

Temperatura moich emocji wynosiła okrągłe zero. Równie dobrze mogłabym spotykać się nie z nimi, a ze sklepowymi

manekinami. Sama czułam się jak manekin. Albo szalony naukowiec. Obserwowałam ich wszystkich jak intrygujące okazy owadów wystawione w gablocie, za szklaną szybą. Podobnie zresztą postępowałam ze sobą. Patrzyłam z lotu ptaka na siebie siedzącą z nimi przy różnych kawiarnianych stolikach – zmieniały się moje fryzury, nakrycia głowy, ubrania, ale to, co było w środku, pozostawało praktycznie niezmiennie. Jakby gdzieś wewnątrz mnie spał wielki wieloryb. Czułam głównie ciężar i senność, i może tylko w chwilach, gdy ktoś nieco bardziej mnie zirytował, wydawało mi się, że zaraz trysnę w niego strugą lodowatej wody.

Z czasem to wszystko wygasło. Moje życie zostało pozbawione głębszych przeżyć, poza rzewnym płaczem na widok instagramowych rolek – z ledwo co wyklutą z jajeczka papuzką lub liskiem uratowanym z fermi futrzarskiej – które oglądałam czasem, oczywiście uprzednio wypiwszy pół butelki wina.

ŻYJĄC KILKA lat w niemal całkowitej samotności, zaczęłam na dobre orientować się w nędzy swego położenia – w tym, że byłam zawieszona w zupełnej pustce, wypreparowana ze wszystkiego, co żywe, jak zwierzęca skóra rozpostarta pośrodku jakiegoś zimnego garażu, pozostawiona do wyschnięcia. Odkrywałam, że staję się coraz bardziej samowystarczalna, do tego stopnia, że zachodziła obawa, że może nawet potrafiłabym doprowadzić do samozapłodnienia jak samica warana z Komodo. Nie zdziwiłoby mnie to. Wręcz przeciwnie – jedynie potwierdziłoby moje ponure przypuszczenia co do tego, że przynależę do świata jaszczurów.

A jednak, dobiegając czterdziestki, postawiona do pionu niczym zombie przez nowe, wyjątkowo dobrze dobrane leki, postanowiłam chwycić się brzytwy, jaką były apki.

Bardzo prędko odkryłam jednak, że ich nienawidzę. Umawianie się z apek wydawało mi się sranie przy otwartych drzwiach. Grą komputerową, w której zaliczasz same lewe bazy i nigdy nie możesz odnieść zwycięstwa.

Choć poświęcałam się dla sprawy, tkwiłam w dniu świstaka. Kolejne znajomości okazywały się efemerydami. Trwały przez najwyżej kilka spotkań, podczas których

wymieniałam się z tymi gośćmi jakimiś informacjami – z coraz mniejszym zaangażowaniem, z każdą kolejną godziną widząc, że nasze zainteresowanie sobą nawzajem spada, jakby to było zaprogramowane. Zazwyczaj wszystko nas dzieliło. Jedno uwielbiało brokoły i zieloną fasolkę, drugie – podrzędne hamburgery. Jedno kochało Paryż i Walencję, drugie – ponury camping pośrodku niczego. Jedno preferowało jogę i zdrowy tryb życia, drugie nie wyobrażało sobie weekendu bez jakiegoś moralnego upadku. Nie wiem, w którym miejscu moglibyśmy się ze sobą spotkać – chyba na wyjątkowo ekumenicznej, znoszącej wszelkie bańki platformie społecznościowej. Nie było takiego Zuckerberga, który mógłby to wymyślić.

Co więcej, im dłużej oddawałam się randkom, tym większego nabierałam przekonania, że ludzie w zasadzie nie chcą już nikogo poznawać i w cokółwiek się zagłębiać, chcą jedynie zaoszczędzić na terapii. Nikt już nie rozmawiał, nie słuchał, każdy tylko gadał o sobie, nie stroniąc od najintymniejszych zwierzeń, długich jak Kolej Transsyberyjska. Uczestnicząc w tych spotkaniach, miałam wrażenie, że robię za idealne ucho. Słowa mężczyzn uderzały o mnie jak pociski; zastanawiałam się, czy w ogóle ma jakieś znaczenie, że to jestem akurat ja? Równie dobrze na moim miejscu można by umieścić głaz.

Czasem, gdy tak gadali i gadali, nie zwracając nawet uwagi, czy nadal siedzę obok, miałam wrażenie, że w trakcie ich monologów wynaleziono już lekarstwo na raka, obalono stare reżimy i wprowadzono nowe, wypowiedziano i odwołano wojny. Zanim skończyli, świat stał się już nowym miejscem, światem 2.0, zaludnionym ludźmi posuniętymi w procesie narcyzmu tak daleko, że opatentowali sposób na bycie nie tylko sobą, ale od razu także własnym partnerem i od tej pory żyli szczęśliwie w symbiozie z własnym ja.

Inna sprawa, że jeśli chciałam uciec od wariatów, to źle wybrałam. Tinder był istnym statkiem szaleńców – chyba wszystkie freaki z tej słynnej łajby wpłynęły na suchego przestwór internetu i założyły sobie na nim konta.

Spotkałam ich całą masę, ale przed Doktorem Czubem zapamiętałam zwłaszcza dwóch.

PIERWSZY BYŁ programistą, zresztą sporo młodszym ode mnie. Kiedy czatowaliśmy, każdą moją wypowiedź oznaczał emotikonem. Buźka z łezką, buźka ha-ha, serduszko, kciuk do góry. Poza tym niewiele od siebie dodawał. Przynajmniej nie wtedy, gdy pisaliśmy w ciągu dnia. Ani nie podczas regularnej rozmowy toczony drogą ustną. Nasze dialogi wyglądały wtedy mniej więcej tak:

- Byłaś tam?
- Jeszcze nie.
- Oglądałaś to?
- Nie, co innego.
- Lubisz to?
- Nie, wolę tamto.

Za to w nocy... O! W nocy przemieniał się w mistrza opowieści, męską Szeherazadę! Tyle że taką online. Wysyłał mi sraczkę wiadomości, streszczał swoje dzieje od dynastii Piastów do ery iPhone'ów, a wszystko obficie okraszał materiałem audiowizualnym. Rano miałam poczucie, że jeśli tylko uda mi się przez to przebrnąć, to wysiedzę i na *Szatańskim tangu*. Zrezygnowałam z tej znajomości, kiedy wysłał mi zdjęcie egzemy na swojej ręce. Zupełnie nie chciał mnie martwić, przeciwnie! Powiedział, że pytał ChatGPT i to nic poważnego, w ogóle nie muszę się obawiać, że mnie zaraził, skoro musnęliśmy się dłońmi. Jeśli mu nie wierzę, mogę sama sprawdzić – przesyła mi link.

Skasowałam i link, i tę osobę z pamięci. Nie chciałam, żeby przeszedł na mnie jakiś inny wirus. Ten związany z postępującą psychozą.

DRUGI WYGLĄDAŁ JAK urzędnik wyjęty z kart rosyjskiej powieści: chudy, niepozorny, wymizerowany. Co jakiś czas chichotał, zasłaniając usta malutkimi jak pączki kwiatów rączkami. Rozglądała się wkoło, szukając wzrokiem jego teczki i czekając wieści o kolejnych posunięciach jego cesarskiej mości albo wstydliwych wyznań dotyczących utrapienia, jakim była plaga pluskiew. Kiedy zaś studiował menu, z takim zaangażowaniem, jakby to była kolejna carska ustawa, miałam ochotę zapytać: „I jak? Uwłaszczono wreszcie chłopów?”

Po odklepaniu standardu, czyli omówieniu swoich pasji, podróży i problemów

ze znalezieniem w dzisiejszym świecie kogoś z sensem, godnego uwagi, „a już szczególnie na apkach”, w okolicach trzeciego spotkania nastąpił przełom. Taki z grubej rury, jak gdyby gość do tej pory jedynie snuł się po urzędzie jak karaluch, a teraz rozwinął skrzydła i okazał się mityczną bestią.

Przysunął się do mnie, wyciągnął telefon i sięgnął do folderu ze zdjęciami. Kliknął tu, kliknął tam i pokazał mi fotę olbrzymiego, czarnego skózanego biczka.

– Fajny? – zapytał, nienaturalnie zaaferywany. Teraz nie wyglądał już jak urzędnik, a car na mefedronie. – Wiesz, co trzeba zrobić ze swoimi pragnieniami seksualnymi? – dodał, chuchając mi w twarz czymś, co zapachem przypominało woń śmiertelnej choroby. – Spełniać je. Tego się dowiedziałem



na terapii. A mnie kręci właśnie to. Jak wybieram się w lateks i wymachuję biczem. Ale wiesz, co kręciłoby mnie najbardziej? – Przysunął się do mnie na niebezpiecznie bliską odległość, tak że nie czułam już niczego poza jego piekielnym oddechem, jakby tylko na chwilę wyłonił się z samego Hadesu i w ramach żartu zalogował na Tindera.

– Nie – odpowiedziałam niepewnie. Właściwie już wypowiadając te słowa, wiedziałam, że wołałabym nie znać odpowiedzi.

– Chciałbym puścić normicę szlakiem czyjejs pochwy.

MIMO TO nie zrezygnowałam. Wciąż próbowałam wykrzesać z siebie jakiś entuzjazm. Uparłam się, że lekarz psychiatra będzie moją szansą. W końcu był pogromcą czubów. Wyprawiał się przeciw nim jak wojownik ciemności przeciw wampirom;

po prostu zamiast czosnku dzierżył naręczce antydepresantów.

Zapytał, czy się z nim spotkam. Trochę się bałam, bo ostatnio rzadko widywałam żywych ludzi, a jeśli już, to głównie kurierów albo sprzedawczynie w sklepie. To właśnie na tych ostatnich poćwiczyłam szybko sztukę rozmowy, a potem zebrałam się w sobie i odpisałam „Tak”, wystawiając się na działanie niepewnych sił przeznaczenia.

UMÓWILIŚMY SIĘ w knajpie, którą wybrał, tak modnej, że zarezerwowanie w niej stolika traktowałam w kategoriach cudu. Może jednak miał jakieś sekretne moce, skoro jemu się udało.

Przyszłam tam o czasie i namierzyłam psychiatrę przy jednym ze stolików. Łatwo go było rozpoznać po włosach, a dokładniej po ich obecności na głowie – rzecz nie tak już oczywista u mężczyzn w okolicach czterdziestki. Co więcej, zachował je w oryginalnej kolorystyce. O dziwo, w podobnie nienaruszonym stanie zachowała się jego sylwetka. Wychodziło na to, że wysłał mi aktualne zdjęcia, nie takie „dwadzieścia kilo temu” i zanim psychotropki wyłobowały mu na twarzy zupełnie nowy wyraz.

Zauważyłam jednak, że był jakiś markotny, jakby urobiony po pachy... Bóg wie czym, choć przyszło mi na myśl, że może wielomiesięcznym, wyczerpującym czekaniem na stolik.

Kiedy podeszłam, wstał i trochę się ożywił.

– No, hej! – rzucił, kurtuazyjnie cmokając powietrze po obu stronach moich policzków i dyskretnie mnie obczajając, tak jak przed chwilą ja jego. Sondowanie się nawzajem, zwykle zakończone wydaniem negatywnego werdyktu, to sport, któremu oddajemy się dziś wszyscy z ogromnym zaangażowaniem.

Doktor Czub – taką ksywę nadałam mu w następstwie późniejszych wydarzeń – był bardzo przystojny. Wpatrywałam się w jego idealną twarz, której wyraz pozostawał niemal niezmienny, w zęby białe jak kamienie na dalekich plażach, w nie tylko istniejące, lecz także bujne włosy, no i te oczy... Element, który od razu mnie zaniepokoił. Błękitne, piękne, choć pozbawione wyrazu,

jakby nie były jedynie zwykłymi ludzkimi oczami, a eksponatami w Muzeum Psychopatycznych Oczu.

Wydał mi się nagle jakimś alchemicznym zjawiskiem. Nie człowiekiem, a dziwnym tworem wyciosanym ze szlachetnego kamienia, ożywionym w wyniku sekretnych praktyk i puszczonym między ludzi. Idealny i chłodny zarazem; pomyślałam, że gdyby przeciągnąć dłonią po jego skórze, można by się nabawić odmrożeń.

Zignorowałam jednak swoje obawy, tłumacząc je typowym dla mnie czarnowidztwem czy innym Merkurym w nieodpowiednim domu, jaki miał na mnie wpływ. Przekonywałam samą siebie, że jeśli chcę, by dobra karma ze mną współpracowała, muszę w nią wierzyć. Praktykowałam zatem wdzięczność i z ogromną mocą skupiałam się na pozytywach.

Potem, gdy jedliśmy różne jadalne kwiatki zanurzone w paście z bobu, kosztowaliśmy węży mordy w sosie holenderskim na palonym maśle czy próbowaliśmy pokonać zaporę z tajemniczej zalewy, by dotrzeć do kawałków kurek i fig, tak małych, że prędeż upolowalibyśmy je pęsetą, odkryłam, że miał przewagę nad innymi mężczyznami, z którymi do tej pory się spotkałam – mówił nie tylko o sobie. O dziwo, opanował staromodną sztukę zadawania pytań i nawet słuchania odpowiedzi, a przynajmniej tych umiejętności całkiem wiarygodną symulację.

– Naprawdę lubisz...? Ja też! A pamiętasz, jak...? Fakt, jesteśmy przecież rówieśnikami. Nie sądzisz, że...? Jasne! – Przedziwne, ale rozmowa toczyła się tak, jakbyśmy wrócili do okolic 2010 roku, kiedy to ludzie jeszcze praktykowali zwyczajną, naturalną konwersację, a nie zdawali się na jej cyfrową protezę. – O, naprawdę, serio, tak było? To coś, co Jung nazywa synchronicznością.

Do tego wiedział, co Jung nazywał synchronicznością.

SPOTKALIŚMY SIĘ jeszcze kilka razy i, o dziwo, zawsze to samo: dobry kontakt, zero skuchy. Zgoogłowałam go, kombinując, że może wcale nie jest lekarzem, a jeśli już, to nazywa się Mengele, ale nie – wszystko się zgadzało. Rzeczywiście był tym, za kogo się

podawał, a nie osobą figurującą w kartotece poszukiwanych za handel czyimiś nerkami albo grę w kosza czyjąś czaszką.

Za każdym razem po spotkaniu wracałam do domu oszołomiona. To było naprawdę dziwne. Nie monologował, a rozmawiał. Nie pokazywał rodzinnego albumu z egzemą ani nie strzelał z biczem, stojąc naprzeciwko mnie ubrany w lateksowe wdzianko i pas do pończoch. Nie pisał po nocy, donosząc, gdzie był, z kim ćpał, co pił, jakie miał kace ani co u siebie ostatnio zdiagnozował: ADHD, borderline czy po prostu depresję. Nie wspominał również o swoich byłych, które ostatecznie zazwyczaj okazywały się nie kobietami, a eryniami czyhającymi na posiłek w postaci jego serca, wyrwanego gołymi rękami i nadal jeszcze krwawiącego. Nie płakał, bo coś go striggerowało, ani nie zrzucił winy za to na mnie. I w ogóle, choć niezwykle trudno było mi w to uwierzyć, generalnie zachowywał się jak ktoś zupełnie normalny.

Podczas kolejnych spotkań bacznie mu się przyglądałam, szukając w jego ciele jakiegoś przełącznika. Czegoś, co zacięło mu się na wariackich ustawieniach fabrycznych i przez co udaje mu się omamić nas, zwykłych śmiertelników, wkręcić nam, że wszystko jest z nim w porządku. Niczego takiego nie znajdowałam.

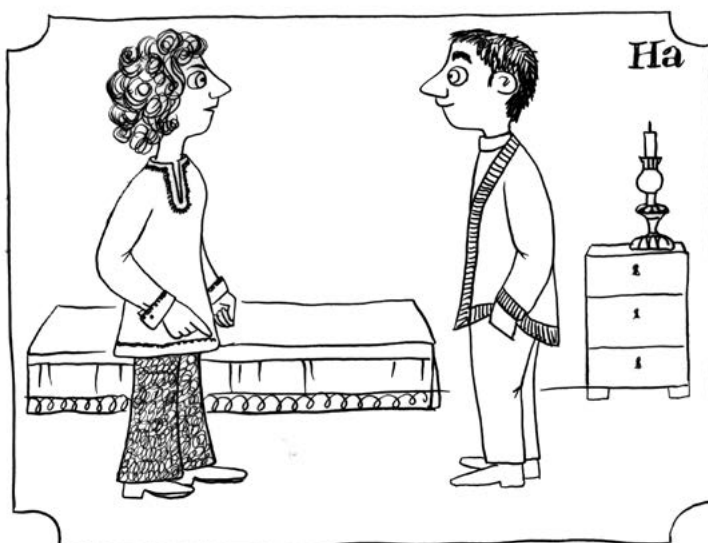
– Może wpadniesz do mnie na sylwestra? – zapytała na trzecim spotkaniu.

Choć starałam się być ostrożna, na wyimaginowanym horyzoncie zobaczyłam fajerwerki.

JEGO MIESZKANIE wyglądało na prawdziwie zamieszkane, nie tylko wynajęte przez psychopatę na imprezę sylwestrową i sekretnym przejściem połączone z mroczną piwnicą, która w swych czeluściach kryje dwa tygrysy na łańcuchach, akwarium z piraniami i czyjeś poćwiartowane zwłoki. Również jego znajomi wyglądali na realnych, a wręcz wieloletnich znajomych, a nie na takich wirtualnych, kupionych w Chinach czy na Allegro.

W pewnym momencie znalazłam się w łazience, wyjątkowo dużej, bardziej przypominającej pokój kąpielowy. Siedziałam tam z może dziesięcioma innymi osobami, a większość z nas obsiadła brzegi wanny rozmiarów pociągu. Przypominaliśmy chyba szczury kanałowe okupujące jedyny dostępny w okolicy zbiornik wodny. Stare szczury kanałowe, dodam. Byłam pewna, że gdybyśmy spojrzeli za siebie, dostrzeżlibyśmy nasze delikatnie falujące, blade, wyliniałe ogony.

Kiedy odwróciłam się w lewo, dojrzałam kosmitkę. A przynajmniej tak mi się wydawało. Dziewczyna siedząca po mojej lewej stronie wyglądała jak władczyni księstwa kosmicznych jaszczurów – miała



– CZY WIESZ, ŻE NASZA CÓRECZKA JUŻ ZACZĘŁA CHODZIĆ!  
TAK? A GDZIE?..

wydęte, pokaźne usta i duże, niemal czarne, smutne oczy, a w jej bladej twarzy było coś tak sztucznego, jak gdyby nie była ludzka, a zdarta z robota humanoidalnego. Włosy dziewczyny też były dziwne, sztywne, matowe, platynowe, z niemodnymi pasemkami w kilku odcieniach. Wyglądały tak, jakby ktoś utkał fantazyjny kilim na ścianę i w ostatniej chwili zdecydował się zmienić jego przeznaczenie: wykorzystać go w charakterze peruki. Zapaliłyśmy papierosa.

– Długo go znasz? – Miałam na myśli Doktora Czuba, który przed chwilą krążył wokół nas, a teraz gdzieś przepadł.

– Tak, chyba od liceum – odpowiedziała.

– Na czym polega jego szaleństwo? – zapytałam rzeczowo, jak gdyby było to pierwsze z rutynowych pytań w standardowej współczesnej ankiecie psychologicznej, którą trzeba było wypełnić, nim odważyłeś się kimkolwiek zainteresować.

– Dlaczego uważasz, że musi być szalony? – Zdziwiła się.

A skąd wiemy, że Ziemia obraca się wokół Słońca? Bo to obiektywny, niepodważalny fakt, pomyślałam. Byłam Mikołajem Kopernikiem współczesnych relacji intymnych.

– Wszystko z nim w porządku – zapewniła, nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. – Po prostu nie znalazł jeszcze tej jedynej. Ale generalnie jest do rany przyłoż.

Dobrze, że nie do nosa, pomyślałam, mając świadomość tego, jakie spustoszenie w społeczeństwie polskim sieje od pewnego czasu mefedron.

Tak czy siak, dziewczyna była kiepskim psychologiem. Może dlatego, że sama go potrzebowała. O czym za chwilę, bo póki co uderzyłam z grubej rury.

– Ile masz lat? – zapytałam. Okazało się, że jest w moim wieku, czyli dobiega czterdziestki. – Chcesz mieć dzieci? – Ostatnio nie traciłam czasu. Zadawałam ludziom pytania, które mnie dręczyły, może jakoś podświadomie sądząc, że w ten sposób sama znajdę na nie odpowiedź.

– Bardzo – odrzekła. Idealna rozmówczyni, żadnego zdziwienia, zawstydzenia, konieczności zadawania pytań pomocniczych.

– Myślisz, że mogłabyś być szczęśliwa, gdyby... się nie udało? – drążyłam.

– Nie.

– No to... – Tu już sama poczułam się trochę skrępowana, ale alkohol, który w siebie wtłoczyłam, był poniekąd pomocny. – ...czemu nie weźmiesz się do rzeczy?

– To nie takie proste. Muszę ci coś powiedzieć. W zasadzie... Muszę coś powiedzieć wam wszystkim – zwróciła się do całej łazienkowej ekipy złożonej z dobiegających czterdziestki nieszczęśników, których twarze coraz bardziej przypominały niezbyt udane sadzone jaja. – Coś wyznać. Tylko się nie bójcie. Mam nadzieję, że was nie zawstydzę.

Mój Boże, o co chodzi, pomyślałam. Nie segregujesz śmieci? Jesz mięso? Dalej kupujesz wodę w plastikowych butelkach?

– Mam raka – powiedziała i ściągnęła z głowy kilim, który, jak się okazało, był peruką. – Raka piersi.

Teraz wyglądała już całkiem jak kosmitka. Na pierwszy plan wysuwały się jej usta: pełne, mięsiste. Wyglądały jak tajemnicze morskie stworzenie. Poza tym była łysa, a jej kształtną czaszkę pokrywał tylko jasny puszek.

– Chcesz przymierzyć? – Podała mi perukę.

– Tak... – powiedziała osłupiała, nie mając pewności, czy naprawdę tego chce. Mechanicznym ruchem odebrałam od niej perukę, tak jakbym całe życie stała na taśmie służącej do odbierania peruk od pacjentów onkologicznych i osiągnęła w tej pracy mistrzostwo, a następnie włożyłam tę perukę na głowę.

Nagle tuż obok znów zjawił się Doktor Czub i zaczął robić mi zdjęcia.

– Wstrzymaj konie... – Próbowałam protestować, bo wydawało mi się, że wyraz mojej twarzy nadawał się raczej do jakiejś ponurej kampanii społecznej niż na media społecznościowe. – Kiepsko mi w blondzie... Ale zdarzenie zostało już udokumentowane i oto przechodziłam do historii Instagrama z krzywym uśmiechem na twarzy, w czuprynie sztucznych, platynowych i zarazem kolorowych włosów.

Popatrzyłam na kosmitkę ze współczuciem i oddałam jej perukę, a ta puściła ją w obieg. Teraz wszyscy siedzący w łazience solidarnie wkładali ją na głowę i robili sobie zdjęcia, a właścicielka peruki siedziała obok mnie z tajemniczym wyrazem twarzy i paliła papierosa.

– Nie powinnaś palić – powiedziałam wreszcie.

– Czemu? Przecież i tak już mam raka.

W sumie słuszna uwaga, pomyślałam, i zaczęłyśmy się śmiać, zwiając ze śmiechu na krawędzi zbyt wielkiej wanny. I wtedy znów odniosłam wrażenie, że ciągniemy za sobą stare ogony, które stukają w jej bok z każdym drgnięciem naszych ciał. Zanotowałam też, że w tle leciało *An Angel The Kelly Family*, sztandarowy utwór mojej młodości. I właśnie ona, młodość, teraz mi się przypominała. W sumie nie było to niczym zaskakującym, bo ostatnio przypominała mi się ciągle, wyskakiwała z rozmaitych szpar mojego umysłu jak kukulka z zegarów, które, na marginesie, widywałam również w młodości.

Kto by wtedy pomyślał, że za kilkanaście lat będę siedziała w cudzej łazience z zupełnie obcymi ludźmi, w tym z mężczyzną poznanym za pośrednictwem nowych technologii, dobiegała czterdziestki i patrząc na nowo poznaną rówieśniczkę, która ma raka, zastanawiała się, czy nie będę następną?

– Pociesz ją – nakazałam Doktorowi Czubowi, który akurat stanął obok mnie i położył mi rękę na ramieniu. – Powiedz, że wszystko będzie dobrze i tak dalej.

– Nie mogę – odparł. – Prawda jest taka, że może umrzeć.

Jego chora koleżanka, która wszystko słyszała, tylko ze zrozumieniem skinęła głową.

– Nie, spoko. Nie chcę, żeby mnie pocieszał. Trzeba będzie, to umrę. – Po czym włożyła na głowę perukę, którą właśnie oddała jej jakaś dentystka, i zapaliła kolejnego papierosa.

Pomyślałam, że zamiast pójść na seans *Siódmej pieczęci* czy przekopywać stopy esejów filozoficznych w poszukiwaniu wątków Tanatosa w kulturze, wystarczyło po prostu przyjść na tę imprezę. Lepiej oswajała lęk przed śmiercią.

– Na zdrowie – powiedziała i duszkiem wypilał banie, którą przyniósł mi Doktor Czub. A potem kilka następnych.

Tuż przed północą wyszliśmy na balkon. Patrzyliśmy na rozbłyskujące na niebie fajerwerki. Kończył się kolejny rok, sztuczne ognie rozjaśniały ciemność, odpalano race, miasto wiwatowało, salutowało